Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 7. Poznań dnia 14. Maja. 1838.

Literatura zagraniczna.

*Lord Brougham o niewoli Negrów.**)

Handel niewolnikami sięgający niepamiętnych starożytności wieków, gdzie podział wszystkich ludzi na wolnych i niewolników z wyobrażeń owoczesnych wypływał, przedarł się przez chrześciańskie czasy do chrześciańskich narodów już nie jako prawo, które religia potępiła, ale jako nadużycie. Od czasów odkrycia Ameryki, kiedy wszystkie żeglowne narody Europejskie, osady, a z niemi obszerne różnych płodów roślinowania (plantacye) na nowéj ziemi rozlegach pozakładały, a za ustępem w głębie odwiecznych lasów, jéj rodowców i bitnych w niepodległości i upornych w niewoli, rąk roboczych zabrakło, wzmógł się do wysokiego stopnia obmierzły ludźmi handel, i miliony czarnych z piętna ludu łagodnych usposobień, przy wrodzonéj do prac wszelakich zręczności, płynęły okrętami z Afryki do Ameryki i bogaciły niesłychanym współczłowieka uciskiem, i kupczących i osadników. Te osobiste zyski głuszyły i głuszą wszelkie przeciwuwagi rozumu, napomnienia religii, wyrzuty sumnienia, i czyniły i czynią jeszcze niepodobnemi w skutkach te środki, które oświecone a ludzkie rządy, prawda że późno, bo dopiero początkiem tego wieku, na zapobieżenie złemu uchwaliły. Lord Brougham w liczbie posłanników ludu Angielskiego, zawołany praw człowieka obrońca, wystąpił świeżo, z przełożeniem nowych sprężystszych i dokładniejszych na ten cel środków. W mowie mianéj z téj okoliczności w izbie Lordów, powiada jedno z pism angielskich, malującéj zgrozy i okrucieństwa dzisiejszego prawa handlu niewolnikami, opisującéj ich niedolę pod względem prawa w osadach, gdzie sędziowie i przysięgli sądząc i wyrokując krzywdy, bezprawia i mordy na Czarnych wykonywane, do liczby samychże ich ciemiężycieli należą, — użył Brougham, siłą umiejętnego władcy języka wszystkiéj jego potęgi i ostrza, a w obronie sprawy, która duszę jego ognistem uniesieniem natchnęła, można powiedzieć, że przewyższył samego siebie.

Po krótkim wstępie skreśla żywy obraz błogich skutków zniesienia w Jamaice i w Indyach wschodnich ohydnego handlu niewolnikami; ponieważ jednak nie wszędzie tak, jak tam, ustała niewola, wzywa Lordów, aby w sposób niemylny, równie sprężysty jak niezawodny, bezprawiu temu w s z ę d z i e, na z a w s z e koniec położyli. Przechodzi daléj mówca do skreślenia stanu na pół usamowolnionych Negrów w Indyach zachodnich i tak się w dalszym ciągu mowy wyraża.

»Przystępuję teraz do przedmiotu, który w niepewności wypadku rzeczy, długo zaostrzał ciekawe wszystkich oczekiwania. Z obawą wyglądano pierwszego Sierpnia 1834 r. jako dnia, z którym rozpoczynało się prawo swobody Negrów. Lordowie! zaiste było się czego lękać ze strony właścicieli niewolników; ja znam człowieka: chciwy własnéj władzy, zazdrośny cudzéj, nadewszystko, gdy mu ją po długiem jako własności dzierżeniu odbieramy, niechętny, drażliwy; znam go jeszcze i z gorszéj strony: wiem, że im kto więcéj władzy swojéj nadużywa, tem uporczywiéj przy niéj obstaje. Tak jest, Lordowie! ja znam człowieka, jego mściwość jest nieubłaganą ku tym, których mu z jego szpon drapieżnych wydarto; on tym nie przebacza nigdy, których sam skrzywdził, czy to oni białéj, czy czarnéj farby. W całym ciągu życia mojego zatwardziałych nieprzyjaciół tam tylko znalazłem, gdzie sam najniesprawiedliwszego od nich doznałem ze mną obchodzenia się. Tak złośliwe jest nasze usposobienie, że tego właśnie nienawidzimy, któregośmy sami obrazili. Nie mniejszą musiała być

*) Rzecz o niewoli Negrów Lord Brougham na posiedzeniu w izbie Lordów dnia 20. Lutego r. b. wytoczył i niebawem drukiem ogłosił. Nie jako przedmiot p o l i t y c z n y, który pismo niniejsze z zakresu artykułów swoich wyłączyło, ale jako m o r a l n y, przytém jako arcydzieło wymowy parlamentowéj, przypominającéj czasy Foxa i Burkego, przytaczamy ją w tłómaczeniu Łaskawym Czytelnikom Tygodnika.

nasza obawa i ze strony niewolników. Już wieszcz odległéj starożytności powiedział, że co człowieka niewoli, to go i upadla. Lękaliśmy się, że niewolnik nieskłoni się do dobrowolnéj pracy za poprzednią płacy ugodą; nieprzywykły do zabiegów na przyszłość, że albo zleniwieje w bezczynności, albo nagle nadanéj mu swobody użyje ku pomszczeniu się na ciemiężycielach. A więc dnia onego w którym zaprowadzony miał być nowy środkujący, napółemancypujący system urządzenia niewolników, przez zamienienie niewoli na terminowanie*), były wielkie, obawy pełne oczekiwania.

Lecz jeżeli w rocznikach historyi którykolwiek kiedy naród zasłużył sobie na kartę wiekopomnego u świata szacunku, jeżeli jest dowód jaki wykrywający w całéj zupełności fałsz zarzutów i oskarzeń czynionych piętnu ludu czarnego, aby pokryć wykonywane długo na nim bezprawia; tedy taką historyi kartę, taki dowód podaje nam kronika wydarzeń dnia 1. Sierpnia 1834 w Indyach zachodnich Zamiast pochodni rozruchów, których szeroko groźną łunę przed czasem zapowiedziano, paliły się na wszystkich wyspach karaibskiego morza łagodne ognie radości i pokoju. Żaden lud oświecony, gdyby nagle nad ciemiężcą swoim odniosł zwycięztwo, więcéjby nie pokazał pomiarkowania w uniesieniu, więcéj w postępkach łagodności, ile jéj pokazali długo ciemiężeni Negrowie po wszystkich bez wyjątku osadach. Ni słowem, ni spojrzeniem, ni gestem żadnym nie zadrasnął nikt dotkliwego dawnych panów uczucia.

Widać tylko było wspólną radość i rozczulenie, które jeszcze wzmagała nadzieja. Czuli, że opadły kajdany, co ich ciała krępując kaleczyły, ale z uniesieniem poglądali w przyszłość, kiedy i zelżywe aż do kości wtarte tych kajdan ślady zatrzeć się miały na zawsze. Nie wyprawiali publicznych uciech, by w szale wesela przepędzić pierwszy dzień wolności; niewinnych nawet nie widziano między nimi zabaw, uniesionych z łona rodziny, przypominających im lubą ojców ziemię. Dzień 1. Sierpnia 1834 r. był im najświętszym dniem sabbatu; święcić go oni rok rocznie będą, dopóki ród ich trwać będzie w tych krajach. Po pięć razy napełniały się w dniu tym świątynie Pańskie, tłumy mnogie uwolnieńców zbiegały się na modlitwę, korzące Panu Niebios niosąc dziękczynienia. Na Jamaice, wśród tylu ponęt do zmyślności i rozkoszy, w dniu jednym 340,000 Negrów usamowolniono, i najmniejszy nieporządek nie zakłócił religijnéj dnia tego uroczystości. Powtarzano nam przedwcześnie, że pierwszy dzień wolności będzie dniem zaburzeń; że czarny bez zmuszenia nie skłoni się do roboty. I jedno i drugie pokazało się fałszem. Dzień 1go Sierpnia minął w pokoju i radości, a Negrowie z chęcią za opłatą pracują przy roślinowaniach.

Nie ma na ziemi spokojniejszego, łagodniejszego, niewinniejszego stworzenia, nad Negra. Pokazało się to nie już w ich własnéj nieszczęśliwéj ojczyznie, ale na obcéj chrześciańskiéj ziemi, dokąd pojmanych z łona rodziny i wolności zawleczono, aby ich wśród obcych okuć w kajdany niewoli, gdzie bezkarnie dopuszczono się wszystkiego, aby się serca ich zemstą zatruły, i wszystkie w nich spiekielniły uczucia, — pokazało się, Lordowie, że Negrom bez stopniowania, całą od razu nadać można wolność, i że ich dusze przy tém tak spokojne, jak morze owych błogich okolic. Tego się ani spodziewano ani przypuszczano, i dla tego ustanowiono czas terminowania.

(Dokończenie nastąpi.)

*) Nie sądzono być bezpiecznie i korzystnie niewolników naraz z niewoli do całkowitéj przeprowadzić wolności. Przez lat 16, t. j. aż do roku 1840 mieli się wprzody wkładać w używiu połowicznego usamowolnienia. Neger przestał być własnością pana, pracował mu tylko za zapłatą, i własnym zarobkiem utrzymując się, mógł w potrzebie żądać opieki sądu. Ale nie był równy z panem w obliczu prawa, nie miał swobód wólnego krajowca. zamknięte dla niego były wszystkie wyższe zatrudnienia, ani mu pozwolono sposobić się do nich; zgoła był wskazany pracować tylko panom z osobistą do tego wolnością. I takie to przejście nazwano terminowaniem, niejako uczeniem, sposobieniem się na wolnych ludzi przez 16 lat.

Literatura krajowa.

Paryzyna Bayrona.

Wyjątki z ukończonego przekładu przez F. M.

WYJĄTEK I.

Oto godzina, gdzie z pośród drzew cienia
Najurcczniejsze słowik leje pienia,
Gdzie tysiąc zaklęć miłośnéj osnowy
Zdają cichemi rozpływać się słowy.
Głośniéj zdrój płynie, wiatr miléj szeleści,
Dźwiękiem ich ucho samotne się pieści,
Każdy kwiat lekko wonna skrapia rosa,
Pierwszemi gwiazdy iskrzą się niebiosa;
Wszystko ciemniejszą przybiera osłonę,
I błękit wody i drzewa zielone;
A na lazurze to światło pół-mgliste,
Tak mile ciemne i tak ciemno-czyste,
Co po skonaniu dnia jeszcze jaśnieje,
Gdy księżyc błyszczy a zorza blednieje.

Ale nie zdroje spadające nęcą,
Z złotych jéj gmachów małżonkę książęcą,

Nie na to nocnym powierza się cieniom,
Aby gwiazdzistym dziwić się sklepieniom.
Do gajów Esta Paryzyna wchodzi,
Nie woń ją przecież kwiatów tu przywodzi,
Slucha i czeka — nie slowiczych jęków,
Choć równie slodkich oczekuje dzwięków.
Ktoś się w gęstwinę śmiałą wciska nogą,
Lica jéj błędną, serce bije trwogą;
Wtém ciche slowo wsuwa się miłośnie,
Wraca rumieniec i pierś szczęściem rośnie;
Chwila już tylko, jedna chwilka mała,
Ujrzy kochanka — stało się, ujrzała.

I cóż że dla nich świat, ziemia, niebiosy,
I wszyscy ludzie, wszystkie zmiany, losy!
Martwi, jak gdyby już byli zmarlemi,
Na wszystko w kolo — nad niemi — pod niemi —
Jak gdyby wszystko już znikło w téj chwili,
I oni tylko wzajem w sobie żyli.
Ileż to życia w ich westchnieniach pała!
Ach, gdyby radość ta zwolnieć nie miała,
Wkrótceby szczęścia zniszczone przemiarem,
Serca ich własnym spłonęły pożarem.
Mogliż, sen marząc tak ognisty, luby,
Pomnieć na zbrodnię, lub lękać się zguby?
Któżby w téj burzy, w téj uczuć nawale
Hamował wrzące namiętności fale?
Któż wówczas myśli, jak czas ten przelotny?
Przecież już uszedł i uszedł niezwrotny.
Tak się to człowiek ze snu szczęścia cuci
Wprzód nim się dowie, że już mu nie wróci.

WYJĄTEK II.

(po mowie Hugona przed sądem.)

Skończył — i ręce na piersiach zakłada,
Tluką się dzwięczne kajdan ich ogniwa,
Ciężko na serca wodzów brzęk ten spada,
Którym wstrząśnięty łańcuch się odzywa:
Kiedy wtém wszystkie spojrzenia porwała
Nieszczęsna piękność małżonki Azona.
Stoi z wybladłym licem, oniemiała,
Żyjące zrzódło niedoli Hugona.
Oczy jéj pełne, nieruchome, wryte,
I jakby w jedno tylko miejsce wbite,
Nigdy spuszczeniem powiek nie ocienia
Przykréj jasności strasznego spojrzenia;
Dziwnie się białość roztacza szeroka
W kolo ciemnego błękitu jéj oka,
Które tak zimne, martwe, osłupiałe,
Jakby w niéj życie wystygło już całe.
Niekiedy tylko z wezbranéj źrzenice
Tak wielka kropla spuszcza się na lice,
Że każdy z widzów dziwi się, zdumiewa,
Zkąd oko ludzkie taką łzę wylewa.
Chce się odezwać — boleść głos przydusza,
W bezkształtnym jeszcze wydobyty dzwieku;
Przecież w tym głuchym, nieforemnym jęku,
Cała nieszczęsnéj ozwała się dusza —
I znów ucicha — znów usta otwiera,
A głos jéj długim krzykiem się wydziera,
I w téjże chwili tak runie o ziemię,
Jak kolos z swojéj podstawy zwalony,
Nie jak żyjące, lecz bezwładne brzemie
Marmur — grobowy posąg Esta żony!
Któżby w niéj poznał tę wdzięczną grzesznicę?
Ten war miłości? tę żądz nawałnicę?
Ślepo się w zbrodni rzuciła bezdroże,
A swéj rozpaczy, wstydu znieść nie może.
Lecz jeszcze — jeszcze żyje i oddycha!
Ach czemuż nawet i śmierć ją odpycha?
Jakaż w niéj ciemność, jak okropna zmiana!
Pękła nić myśli boleścią zerwana.
Jak ów łuk silny deszczem rozwolniony,
Zdala od celu błędne strzały ciska,
Tak i jéj umysł męczarnią zniszczony,
Dzikiemi tylko marzeniami błyska.
Przeszłość jéj zmarła — a przyszłość zczerniała,
Takiém niekiedy światłem się rozświeci,
Jak kiedy nocna zaryknie nawała
A błysk jéj czarną pustynię przeleci.
Czuje, że dusza jéj jak lodem ścięta,
Że ciężar jakiéjś tłóczy ją boleści,
Że się w tém jakiś wstyd i zbrodnia mieści,
Że ktoś ma umrzeć — lecz kto? niepamięta.
Żyjeż? nie żyje? istotnież to ziemi,
Ziemi téj stopy dotyka się swemi?
Niebož to widzi? ludzież to tym wzrokiem,
Czy też szatani grożą jéj dokoła?
Jéj, co niedawno śmiejącém się okiem
Tysiączne w koło rozjaśniała czoła?
Wszystko w obłędnéj duszy powikłane,
Zmącone czucia i myśli stargane,
Kłócą się dziwne bojaźni, nadzieje,
To się rozrzewnia, to znów dziko śmieje.
Radość jéj w burzę, boleść w szał się zmienia,
Walczy z widmami strasznego marzenia,
Zda się, że jakiś czarny sen ją łudzi,
Sen to szaleństwa — już się nie przebudzi!

(Dokończenie nastąpi).

O dwunastu rozbójnikach.

(Powieść z gminnego podania, ze zbioru powieści gminnych wielko-polskich, w manuskrypcie).

(Ciąg dalszy).

Stary pokiwał głową, przetarł oczu, jakby ze snu zbudzony, i nie uwierzył własnym oczom, aż się dotknął trupa i zobaczył, że zimny, że głowa gdzieindziéj, a ciało gdzieindziéj.

Zamyślony poszedł do izby, oparł głowę o piec. Jak to było? zapytał.

Basia poczęła opowiadać, jak murzyn na złodziei zaszczekał, jak się podedrzwi podkopywali, jak ona chcąc się schować w komorze, zobaczyła tam topór ciesielski. Jak nim wszystkie głowy poodcinała, a trupy wciągała do sieni; jak jeden uciekł, bo go źle trafiła!

»Jeden uciekł?» mruczał młynarz pomieszany, chwała Bogu! ale świat nie powinien wiedzieć, że reszta na Karkiszu zabita! Złym ludziom i nieprzyjaciołom dogodziłoby się nie lada. Ja mieszkam na pustkowiu, — u mnie ludzi pomordowano!

»Boże zlituj się!« wołała załamując ręce młynarka. »Ciszéj kobieto! poszłabyś lepiéj drzwi sienne zaryglować i przynieść z komory trzy rydle; w sieni ich zakopiemy!«

Przy świetle latarni zaczęto kopać grób w milczeniu; czasem je łkanie Basi przerwało, czasem zadzwonił rydel o kamień uderzony. Potem weń wrzucono jedenaście trupów, potem jedenaście głów osobno!

Nie wiem, czy tam każdy w dniu zmartwychwstania trafi do swojéj?

Dwa sążnie głęboko schował się czyn krwawy przed światem; ale się schować nie mógł przed młynarską rodziną. Ona się wszystka zmieniła.

Stary Szymon często zamyślony, mniéj mówił jak zwykle.

Młynarka ledwie raz na dzień rozpowiadała córze o owych wróżbach staréj kobiety, bo już sama o nich wątpić zaczęła.

Basia więdła codziennie jak kwiatek w jesieni, kiedy go szron zwarzy. Jéj oczy we łzach pływały; już nie potrafi podbić niemi serca owego pana w bławatach, w złocistéj karecie. Ona wszystko zrobić gotowa, byle dłużéj na Karkiszu nie zostać. Tak jéj tam okropnie, tak straszno, że się śród białego dnia, własnego lęka cienia.

Napróżno młynarczyk z Łobza zachodzi do niéj skwapliwie; onby z nią w posagu Karkisz odebrał, a onaby na Karkiszu umarła.

IV.

Tak dwa lata minęły; trzeciego lata w dzień skwarny, w samo południe, przejeżdżał powóz czterokonny groblą Obrzańską. Przed młynem zatrzymały się spienione konie. Basia wyszła przededrzwi. Jakiś Pan prosił o świeże mleko, a wypiwszy przyniesione, pogłaskał Basię po twarzy i rzekł: »jutro z powrotem wstąpię do was i zapłacę!«

Widziała i słyszała to młynarka, polewając na bielniku płótno. Nuż więc do męża z dobrą nowiną; nuż powtarzać wróżby staréj kobiety, co do joty. Nadzieja konająca od dwóch lat prawie, znowu odżyła w jéj duszy.

Całe poobiedzie uprzątała izbę; całą noc śniło jéj się o córce, jak była wielką panią, jak jéj się wszyscy kłaniali, fraszka pani ekonomowéj z Niedźwiad, u któréj za młodu była piastunką.

Nazajutrz koło podwieczorku zajechała kareta przed młyn. Ten sam Pan, co wczoraj pił mleko, wszedł do izby, pochwalił Pana Boga, przeżegnał się święconą wodą z kropielniczki, wiszącéj nadedrzwiami i zapytał o zdrowie. — »Bóg zapłać Panu!« odpowiedziała młynarka i podała mu zydel czerwono malowany, z żółtemi kwiatami.

Na gościnności nigdy u nas nie zbywało; więc też i Basia zakrzątnęła się z rozkazu matki około podwieczorku.

Nakryła stół bielizną, zastawiła sera, masła i pszennego chleba, a młynarz zeszedł do sklepu po gąsiorek lipcowego. Wszyscy byli radzi gościowi, tylko kądle warczały i patrzały z podełba na niego.

Pan był przystępny, rozmowny, więc mu stary gawędził o tém, co było, a wszystko było lepiéj niż dzisiaj. Zdaje się jednak, że gość tylko pół-uchem słucha; bo coś okrutnie córce w ząbki zaglądał. — Snać sobie w niéj upodobał, bo aż do samego wieczora został we młynie i przyrzekł wkrótce znowu przyjechać.

Co za szczęście dla matki! już teraz nie wątpi, nie wątpi! I do prawdy też powrócił pan bławatny po dwóch tygodniach; wszedł jak po dawnéj znajomości do młyna, padł s t a r y m d o n ó g i p r o s i ł o c ó r k ę!

Szymon osłupiał, zabaczył z zadziwienia języka w gębie; w tem mu młynarka dość głośno na ucho szepnęła: »Widzisz Szymonie, jam dawno powiadała! to przeznaczenie Boskie! Bóg cię skarze za upór Szymonie!« — »Niech się jego święta wola dzieje!« rzekł Szymon; a jeżeli do tego czasu niechętnie w dom swój wróżki i cyganki przyjmował; to od téj chwili był gotów podzielić się z niemi połową swojéj chudoby; tak mocno w ich przepowiednie uwierzył!

Młynarka skinęła Basię do komory i długo sam na sam z nią rozmawiała.

Młynarz naradzał się z przyszłym zięciem o weselu; onby je chciał wyprawić dopiero po zasiewkach; może dla tego, aby się przygotować na sute i huczne gody, według swego stanu; a może też z innéj przyczyny.

Zięć przeciwnie dziś, jutro, chciałby wziąść ślub z Basią, bez wielu świadków, bez hałasu; może dla tego, że ją bardzo kocha, a może też z innéj przyczyny!

Proźby i nalegania jego przemogły.

V.

O biedna, biedna Basia! nie było u niéj, według zwyczaju swatów, ani zmowin w sobotni wieczór.

Ani jéj w weselną niedzielę nie wiozły na drabiastym wozie druchny i młodzianki do kościoła. Nie zaśpiewano jéj siadanego.

Pan młody nie wywijał na krępym koniku, z czerwoną chustą i rozmarynem u bata; ale wziął ją z sobą do karety czterokonnéj, złocistéj. Na świetnym kobiercu ksiądz stułą ręce związał; nie zapowiadano ni razu z ambony. Czegóż to bowiem pan możny nie może!

Biedna Basia! nie było na jéj weselu drużby przodownika; nie zatrzymał jéj nikt na krzyżówce; nikt nie podał bochenka, ani kądzieli, aby wypróbować, czy dobra z niéj będzie gospodyni. Ona dziś wielką panią; to też kto inny za nią chleba ukroi i kądziel oprządzie! Przy wieczerzy nie zdmuchnięto przed Basią świecy, a przecież dla niéj zagasło światło swobody.

Żadna z młodzianek nie poszła w jéj szmatach zwodzić pana młodego; a któż wie, czy z niego będzie mąż wierny?*) Oncić prawda głaszcze Basię po twarzy; ale on także głaszcze i owe dwa kądle; a kądle warczą i nie chcą przyjąć chleba z jego ręki!

Basia wdzięczniejsza za pieszczoty pana, miażdży mu się też jak umie. Szczęśliwa! już jutro Karkisz opuści!

Jutro nadeszło, minął ranek, minęło południe; koło podwieczorku płacze i szlochy we młynie.

Córka i ojcowie zalani łzami, zięć się uśmiecha. Konie grzebią ziemię niecierpliwem kopytem; po chwili pędzą już z nowożeńcami przez groblą.

»Stój!« wrzasnął pan na woźnicę, zjechawszy małą drożyną do dębowego lasu. »Żono, mnie głowa boli, wyciąłem się wczoraj o wasze niskie drzwi we młynie; popatrz jeno!«

»Ach! mój miły, co to jest? taka szrama nad czołem! czy to na wojnie, mój miły?«

»Nie, Basiu! to nie na wojnie!« rzekł i uśmiechnął się szydersko. »To u was we młynie drzwi takie twarde, a nizkie, że aż pod progiem włazićby trzeba!«

Basia zbladła jak chusta.

»Czemu ty blada, Basiu? wszak to już rana zgojona, a gorzéj było, kiedy się z téj rany lała krew gorąca w oczy i w usta!« i znowu dziko się rozśmiał. Basia zadrzała jak listek osowy.

»Czemu ty drzysz Basiu? wszak to tylko szrama; a lepiéj przecie umknąć ze szramą na głowie, niż bez głowy wleźć do sieni! Nie prawda Basiu?

---

*) Są to obrządki weselne wielko-polskiego ludu.

Basia blada, drżąca przypomina sobie, że dwónasty uciekł. Spojrzała na szramę; okropne przeczucie ozwało się w jéj duszy. »To on!« wrzasnęła, a on gwiznął w palec i siedmiu ludzi wąsatych wypadło z pozakrzaków.

Porwali Basię z karety; krętą ścieżką pomiędzy zaroślem wlekli ją z sobą!

Za godzinę stanęli w najdzikszem ustroniu kniei; widać zapadłą chatę, słychać psów warczenie, czuć zapach trupiego ciała.

Najstarszy zapukał do drzwi, otwarły się; dwa brytany poskoczyły ku Basi; skinął pan, psy legły u drzwi.

Wszystko tu, jak przed dwoma laty. Tylko starka pochyliła się bardziéj ku ziemi i zaślepła na oczy. Przybył też może przez ten czas niejeden sznurek pereł, niejeden trup do sklepu. I dzisiaj pewnie nowa ofiara przybędzie; bo najstarszy zbójca pomści się za swoją ranę; dokona krwawéj przysięgi.

(Dokończenie nastąpi.)

Wyjątki z nieogłoszonéj dotąd drukiem Autobiografii Wybickiego.

Wyjątek trzeci.

Moja młodość i wychowanie.

(Dalszy ciąg.)

W tym czasie w r. 1764 nastąpiła Elekcya króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. A że wojewodą pomorskim był Mostowski, przywiązany jak się zdaje do partyi Czartoryskich, zbierał jak najwięcéj szlachty na Pomorzu, aby pole wybiercze pomnożył na korzyść Poniatowskiego. Trzeba wam wiedzieć, że Pomorzanie, z dawnego jeszcze swego prawa, jeździli na wszystkie sejmy, jak mówiono: viritim, t. j. ogólnie wszystka szlachta, bez wyborów poselskich. Ta polityczna horda, szła jak karawanem pieszo, konno, i na wozach. Ja naturalnie jako kancellarzysta grodu wojewody, bo wojewodowie byli u nas razem starostami grodowemi, należałem z prawa do téj wyprawy, i dostało mi się miejsce na powozach wojewodzińskich; na czele szedł pan Regent kancellaryi Owidski. Ukochanéj mojéj matce, lubo majętnéj, zdało się rzeczą niepodobną, aby mnie do Warszawy przyzwoicie mogła wyprawić. Tak wcale związku ze stolicą kraj nasz nie miał. Wyjechałem jednak za jéj pozwoleniem, z otrzymanym nowym żupanem i kontuszem, w te, jak mniemała odległe krainy, w które mnie nie bez łez wielu puściła.

Tak więc mając dopiero lat 17 wszedłem w kolej polityczną, używać zacząłem najchlubniejszego prawa wolnego człowieka, co sobie króla wybiera. Ale ja bardzo mało miałem o wszystkiem wyobrażenia. Gdzie, kiedy i od kogo miałem się nauczyć zasad spółeczności cywilnych? któż mi miał wytłómaczyć i ludów i wybierczych jego magistratur prawa?

Podróż i przybycie do Warszawy bardzo dobrze sobie przypominam, naprzód w drodze mieliśmy i dla nacisku podróżnych i dla skępstwa wojewody, wielki głód i niewygodę, tak iż my wędrowcy Sejmowi ułożyliśmy sobie litanią każdego noclegu i popasu, zawsze odpowiadając: krupnik za nami. Doszło to usz wojewody, rozśmiał się, ale krupnika nieodmienił. W Warszawie zapakowano nas jak więźniów, w jakimś domu ciasno i ciemno. Uciekałem do mojéj familii, która lepiéj i żyła i mieszkała, ale wszelako wracać się musiałem do Pana wojewody kalwakaty, na któréj liczbie i zgiełku zależała cała wielkość i możność, jak mówiono, partyi. Zaczynała się zwykle nasza processya od wojewody ruskiego, Czartoryskiego, wtenczas bardzo możnego. Powiększyły się moje cierpienia, gdy niektórzy z mojéj familii, i znajomych wyrzucali mi służalstwo Mostowskiemu, którego nazywano uzurpatorem województwa; trzeba było bowiem podług dawnych praw w Prusiech, być Indygeną, t. j. rodakiem pomorskim, aby mieć krzesło lub urząd wojewódzki. Czapscy, co się na czele tych indygenów stawiali, wiedli długie i kosztowne spory z Mostowskim, dowodząc mu, że jest przybysz, a zatem wojewodą być nie może. To rozjątrzenie umysłów nigdzie nie było większe jak w Warszawie; wiele razy ledwo do rozlewu krwi nie przyszło. Kończyło się jednak zwyczajnie na krzykach i pogróżkach. Mnie się to, pamiętam, wszystko bardzo przykrzyło. Byłem ciekawy widzieć miasto, ludzi i rzeczy, ale rozumować i zastanowić się nie umiałem. Wreszcie wszędzie zgiełk, burdy, były zwykłym obrazem miasta. Nie widziałem przyczyny, ale mi się bardzo nie podobały te hordy kozaków, co wszędzie przebiegały. Pytałem się raz naszego Pana Regenta, czy kozacy także do elekcyi należą? on się za całą odpowiedź rozśmiał. Niewiedzieliśmy ani dziejów kraju, ani jego praw publicznych, cóż dopiero o związkach naszych politycznych z sąsiedzkiemi narody, i ich polityce! taka była ta nasza wolność, dla której żyć chcieliśmy; ale to do historyi należy. Ja w tym stanie rzeczy najszczęśliwszym się czułem, gdy wprowadzony w dzień elekcyi na polu pod Wolą, nieznajome mi dotąd ujrzałem obrządki. Wspaniała szopa, ledwo przejrzane szyki rycerstwa województw i książe Prymas Łubieński, na kosztownym przebiegając faetonie i wszystkich o zdanie zapytując bardzo mnie zajął. Obrządek ten był zupełnie próżny, zapytanie szyderskie, bo już wiedziano niecofniętą wyrocznią z zagranicy, że Poniatowski będzie królem. Co do mnie, to ten raz jedyny tylko pod jego panowaniem, byłem z téj zupełnéj wolności chlubnym, jeżeli wolnym być można bez rozumowania; krzyczałem: zgoda! Powodem do mojéj radości było, że królem miał być rodowity Polak, i że po wszystkich posiedzeniach wielbiono go z obszernych wiadomości, i najlepszego serca. Nie przeglądałem, że pod jego panowaniem naród miał zniknąć z karty politycznéj, a ja, ów elektór królów, i sam jako Piast do korony kandydat, w tułactwie życie zakończyć. Reszta w Warszawie była dla mnie widokiem nadzwyczajnym; przybyły z cichéj i skromnéj prowincyi, rozumiałem się być przeniesionym w świat wcale inny. Blask zbytku azyatyckiego w pałacach, powozach, strojach i stołach zadziwiał moje oko. Docisnąwszy się do jakiego pałacu i posiedzenia, największe na mnie wrażenie czyniły osoby wymowne; gdy na podniesienie ich głosu, wszyscy zaraz zamilkli Takim był Dłuski, podkomorzy, którego zawsze słyszałem z miłą słodyczą mówiącego u księcia Czartoryskiego. Największego starania dokładałem zawsze, aby się dowiedzieć, kto jest ten, lub ów Cicero, a gdy dostrzegłem, że wszystkie te osoby najwięcéj przez rozum i wymowę słynące, byli mecenasi lub exmecenasi, plenipotenci, regenci etc. uczułem radość, że to byli ludzie z kolebki kancellaryjnéj wyrośli; to mnie uczyniło hardym, dało jakąś nadzieję, i przywiązało do kolei prawniczéj. Mój regent, Pan Owidski, który był razem moim krewnym, umiał mi wynosić zawód prawniczy, i umacniać mnie w moich widokach. I ty Józefku może będziesz z czasem plenipotentem księcia, posłem etc. powtarzał mi często. Cały już odtąd byłem zajęty wiadomością prawa i nabyciem wymowy. Taka jest dzielność pierwszych wrażeń na duszy naszéj! od tych cały los człowieka na przyszłość zawisł. Szczęśliwy ten, który takich pierwszych wrażeń doznał, wzniosłości duszy, zacności człowieka, na kogo umyśle umiejętna ręka prawdziwych wiadomości pierwszy rys oznaczy i węgielny kamień istotnych nauk położy! a co najwięcéj, gdy niewinną duszę do pokonania cnoty usposobi. Warszawa mnie ze wszystkiem zaczęła nudzić, czułem się niezdatnym do tego nizkiego teatru, pragnąłem tylko się

uczyć, by się do niego przysposobić, a do takiego zamiaru rozumiałem, że nie będzie szkoły tylko kancellarya, i, jak mówiono, Palestra.

Jakie tylko mogłem dostać mowy, książki prawne, zaraz zakupowałem; ale książki polskie, był to jeszcze naówczas towar bardzo rzadki, jak gdyby w Polsce zakazany; a języki obce prócz łacińskiego, który posiadałem dobrze, i niemieckiego, którego miałem początki, ledwo z nazwiska znałem. Wtenczas przecież mógłbym się był wszystkiego gruntownie i z łatwością nauczyć. Geografia, historya, matematyka i cała literatura, nigdy dotąd do moich uszu niedoszły. Taki był wiek, w którym żyć zacząłem. Muszę mu jednak oddać sprawiedliwość, w czem był dla mnie zbawienny. Był to wiek dla mnie obyczajów i moralności; wychowany w zaciszu niewinnego domu, pod okiem cnotliwych i rządnych rodziców, żyłem, jak dziś czuję, prawdziwie w wieku patryarchów. Żadne zgorszenie nieobudziło wemnie tyle szkodliwych dla młodego namiętności. Wszędzie widziałem przykład skromności, pracy i uszanowania dla starszych, z tego się urobiły moje obowiązki i prawidła życia. Z tym duchem przyjechałem do Warszawy, która względem mojéj prowincyi, zdawała mi się Babilonią rozwiązłości i niecnót. Owe jednak w duszę młodą wpojone zasady religii i obyczajów, były silniejszemi nad wszelkie pokusy; uciekałem od nich jak od zarazy. Te pierwsze odniesione zwycięstwa, zapewniły mi zdrowie, i duszę do myśli i pracy sposobną. Wyjechałem z Warszawy, duszą i ciałem kancellarzystą, uradowany, że odwożę ukochanéj matce mojéj duszę i serce wolne od wszelkiéj zarazy. Dotrzymałem jéj szczególniéj słowa niegrać nigdy w karty, czego aż dotąd się nienauczyłem. Całą drogę zatrudniały mnie mowy i książki, którem kupił, a po krótkiem uściskaniu mojéj matki, o mnie niespokojnéj, w Bendominie, wyrwałem się z domu od gospodarczych mozołów, do Skarszew. To była moja stolica.

W tem odgłos, że wojewoda odmieniony, że Flemming na miejscu Mostowskiego naszym starostą grodowym. W kancellaryi rady, zamieszania, niby w Warszawie. Starosta miał prawo wszystkich urzędników odmienić, z tąd bojaźń i nadzieje. Chodzi o to, aby ktoś z kancellarzystów J.W.Starostę przy wjeździe witał, powszechny wybór pada na mnie. Nie jestem zdolny opisać, co nocy bezsennych, dni zamyślonych strawiłem, aby ten urząd mówcy z chlubą odbyć. Nie wiem, czy kiedy w życiu byłem szczęśliwszym, i więcéj zatrudniony. Tu dopiero tertiani rhetor przypominam sobie prawidła wymowy, przerzucam całego Cicerona, uczę się mów Warszawskich, wreszcie Owidiusz i Wirgiliusz nie uszli mego łupu. Cóżbym dał gdybym tę mowę był dotąd zachował! Tyle się domyślam, że tam mówił Cicero i Czaplic i Dłuski, Herburt i korrektura praw pruskich; kończył zapewne Wirgilius lub Owidyusz. Wybiła nareszcie dla mnie okropna godzina. Tłum, zgiełk poprzedza wojewody wnijście do zamku, w którego przysionku Pan Regent czeka, i mnie znak do mówienia daje.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Krytyka.

Rozbiór krytyczny dzieła ***Bronisława Trentowskiego****, Dra filozofii, byłego Nauczyciela przy Gimnazyum w Szczuczynie, które wyszło w Karlsruhe i Freiburgu 1837. r. pod tytułem:* Grundlage der universellen Philosophie.

(Ciąg dalszy.)

Autor przystępuje teraz do poznania znamion każdéj strony z osobna, i w końcu nowe z połączenia każdych dwóch odpowiednich wprowadza.

Zmysłowość jest pierwszém i początkowém źródłem każdego poznania, polega na bierności umysłu, przez zmysły i rozum wiążący w ogóły zmysłowe wrażenia; poznaje świat zewnętrzny, a przezeń pewność siebie samego (sentio ergo sum). Rozum pojmuje tylko to, co mu zmysły poddawają, nie różni przeto człowieka od zwierzęcia; poznaje tylko wielość rzeczy i analizuje bez systemu: same tam klassyfikacye według cech powierzchownych, aby jaki taki w tę rozrzuconą rozmaitość wprowadzić podrządek: goni za saméme naocznémi korzyściami, za praktyczną nauk stroną, nie zdatny zatém przepisywać prawa moralności; — ale stanowi przeciwwagę rozbujałym pomysłom samowolnéj myśli.

Rozsądek bada niewidzialną w nas i w całéj naturze działającą siłę, chce pojąć i ogarnąć duchowe w calém stworzeniu życie. Wyobraźnia jest twórczynią nauk i sztuk pięknych, ona też podstawą rozsądku i fantazyi. Rozsądek mieni się istotą duchową rozlaną po całéj naturze, jest twórczy, samodzielny, jeden w sobie, i dążący zawsze do jedności; jednym pomysłem chłonie wieczność i przenika niezgłębioną otchłań wnętrza natury. Ma bezwarunkową siebie pewność (cogito ergo sum), i na téj pewności buduje, a potęgą logicznych wniosków przekonywa. Samą boskością myśli zajęty, nie dba o praktykę życia, goni tylko za tém, co piękne, wzniosłe, wielkie. Unieśmiertelniają się w téj sferze twórcy religii, poeci, filozofowie, a ród ludzki szlachetnieje i ratuje się od uzwierzęcenia.

Zlewkiem zmysłowości i rozsądku jest dostrzeżenie (Wahrnehmung, animadversio) *), łączące stronę materialną i umysłową. Dostrzegamy rzeczy, czy to przez niewiadome nam, czy wiadome stron tych połączenie. W dostrzeżeniu pojmujemy i formę i istotę razem, a zatém dochodzimy do najdokładniejszego rzeczy pojęcia. Bóg staje się przedmiotem dostrzeżenia nie w zewnętrzu natury, ani we wnętrzu myśli, lecz w uniwersalném życiu, z połączenia obojga istniejącém. Bezpośrednia pewność dostrzeżenia polega na całko-

---

*) Tu się rozpoczyna właściwa filozofia P. Tr. Kluczem doń jest znaczenie wyrazu Wahrnehmung. Zostawując Autorowi zaprowadzenie w swoim czasie polskiéj nazwy tego znaczenia, tłómaczymy czysto wyraz niemiecki przez dostrzeżenie, lubo nam wyraz jawność lepiéjby rzecz oddawać zdawał się.

witém połączeniu zmysłowéj i umysłowéj pewności (animadverto ergo sum.) Jedną i tą samą pewnością bezpośrednią jest dostrzeżenie Boga, nie dające się dowieść ani też potrzebujące dowodu; dostrzega go każde serce i wszystkie ludy, jako wiecznego, niezmierzonego, wszędzie przytomnego. Dostrzeżenie wiąże pożytek praktyczny z uszlachetnieniem rozsądku, i kładzie prawdziwość (das Wahre) za zasadę moralności. Tylko to jest dobre i godziwe, co jest prawdziwém, a prawdziwe to, co jest użyteczne i szlachetne razem.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Doniesienia literackie.

U Breitkopfa w Lipsku wychodzi z druku 100 Bajek podług Lafontaina, z 100 obrazkami przez J. J. Grandvilla, zebrane z różnych tłómaczeń p. Bobrowicza. Ryciny, jak widać z próby, wyborne, zdają się być największą zaletą tego dziełka.

Czajkowski wkrótce podobno wyda: »Nową powieść bulgarską w 2 Tom. pod tytułem: Kirdziło.

Żadne z polskich nowoczesnych poematów nie doczekało się tylu wydań, jak Marya Malczewskiego. Pominąwszy dawniejsze edycye, w tym roku wyszły trzy nowe: w Paryżu, w Londynie i we Lwowie. Ostatnie wydanie przez znakomitego poetę A. Bielowskiego zalecamy naszym czytelnikom dla tego, iż oprócz poematu obejmuje drobniejsze prace Malczewskiego, a nadewszystko, iż w przedmowie skreślił wydawca dokładną biografią tego poety, ocenił gruntownie jego dzieła i przyłączył dokumenta wyjaśniające osnowę Maryi. Umieścimy z nich wyjątek.

Na dzieło Pana F. Kozłowskiego: Statystyka Europy, mające wkrótce opuścić prassę drukarską, przyjmuje się dotąd prenumerata. Po wyjściu dzieła tego, nader, jak się zdaje, ważnego pod względem przemysłu i handlu, cena znacznie podwyższoną zostanie.

Rozmaitości.

Kuchnia staropolska.

(Dokończenie.)

Z potraw rybnych pierwsze miejsce trzymał łosoś żółto po królewsku; między doprawami przy nim głównie paradowały ocet, wino, szafran, pieprz, cynamon. Ryby szaro w maćkowéj jusze: po odwarzeniu dzwonka wprawiano w gąszcz z octem winnym, oliwą, oliwkami, limonią, rozynkami małemi, pieprzem, imbierem, cukrem, cynamonem, a nakoniec dosypano grzanek w kostkę. Szczupak po węgiersku prawie tymże sposobem się gotował, tylko że go obsypywano grzankami krajanemi w kostkę. Niepospolitemi potrawami rybnemi, które weszły w modę za Sobieskiego, nazywa Czerniecki cztery. 1) Potaż rybny, to jest ryba nadziana siekaniną z wątrobek, smażona z mąką w oliwie, a dana ze sosem z grzybowego soku i z grzankami. 2) Karp z spirakiem i makaronem włoskim był doprawiany winem, cukrem, pieprzem i cynamonem. 3) Karp bez kości, to jest sama skóra karpia wytkana faszem, smażona, a potém wprawiana w ocet z limonią, cukrem, cynamonem, pieprzem. 4) Karp z juszycą, to jest czarno gotowany z krwią rybią w winie z cukrem, pieprzem i różnemi korzeniami.

Jako jadło pod rosoły i polewki, jako okładka potraw ze saporem i nareszcie jako potrawa oddzielna, sławne były już spomniane figatele. Znane one są i dzisiaj u kucharzy pod imieniem pulpetów czy buletów, bo trudno wyrozumieć prawdziwe nazwisko, a są to te kulki z tłuszczu, chleba i jaj, które dotychczas pod rosołami rumiannemi na imieninach, odpustach i tym podobnych ucztach, często spotykać się dają. Mogą one być mięsne i postne.

Do potraw mącznych należały głównie grzybek, należniki i bianka, czyli teraźniejszy melszpais z mąki tatarczanéj. Pasztety słynęły francuzkie, niemieckie i angielskie; galarety i blamasy były równie używane jak teraz; ciasta miano francuzkie, angielskie, włoskie, rakuskie i bielskie. Wielkiéj powagi między łakotkami był arkas: nasz Sekretarz Jego Królewskiéj Mości i kuchmistrz pana Lubomirskiego taki daje na niego sposób: »mleka weźmiy słodkiego ile chcesz, wstaw w piękném naczyniu, włoż cukru, a gdy zwierać będzie, wyciśniéj cytrynę, albo winnego octu łyżką wlej, a gdy się zewre, lej w koszyki na to zgotowane, żeby materya grubsza zostawała, a subtelna wyciekła, a polawszy talerze wódką różanną, wyłóż z koszyczka na talerz, a pocukrowawszy daj, możesz też szafranu do mleka przydać, jeżeli chcesz.« Dowcipem było kucharskim, dać na stół kapłona całkowito w butli szklannéj, a robiono to tym sposobem: skórę kapłonią wpuszczono w butel i przez jedyny otwór przy kolanie napełniono ją żółtkami rozbitemi w mleku; otwór skóry zawięzywano, butel stawiano we war dla ugotowania i stwardnienia. Drugi dowcip czyli sekret była ryba całkowita w jednéj części gotowana, w drugiéj smażona a w trzeciéj pieczona; robiono to na różnie, ogon obwiązywano serwetą i polewano octem, środek ryby smarowano masłem i posypywano mąką, a głowę tylko smarowano.

Królowie i wielcy panowie chowali kuchmistrzów, który to urząd zamienił się tylko w godność honorową; do kuchmistrza należało bankiety urządzać, a trzymał się każdy zasady: że lepiéj mieć za talar szkody, niż za półgrosza wstydu. Na obiad proszony do pięćdziesięciu osób, dawano po dwanaście potraw i na każde dwanaście osób oddzielny półmisek; na obiad większéj liczby jak 50 osób dawano 25 potraw. Ponieważ jedzenie długą miałoby kolej, przeto niektóre potrawy podawano razem, a w XVIII. wieku dzielono objady na zastawienia, to jest zastawiano po pięć lub sześć potraw na stołach, które miały pod nogami kółka, i te stoły przed jedzących suwano, stąd późniejsi pisarze kuchenni, którzy się tylko na tłumaczeniach a zatém obcych potrawach ograniczali, zawsze obiady dzielą na zastawienia.

Za Stanisława Augusta, który zwykł trzymać kucharza francuzkiego, a niezmiernie lubił baranią pieczeń, kuchnia oddaliła się od cech narodowych; weszło wiele nowych potraw a między innemi, jak pisze Vautrain, zaczęto sędacza gotować na inny sposób, i choć za tego króla we wszystkiém było więcéj powierzchowności jak istoty, to jednak kuchnia uczyniła postęp rzeczywisty; może się do tego przyłożyły sławne czwartkowe obiady, ale czy za wpływem uczonych, czy bez nich, dosyć że wyrugowano ze stołów szafran a znacznie osłabiono wpływ octu, pieprzu, cynamonu, limonii, goździków, imbieru i galki. Cześć i chwała za to przynajmniéj Stanisławowi Augustowi! *J. M.*

W numerze 6. Tyg. liter. wkradło się kilka błędów drukarskich: najważniejsze:

str. 42. kol. 2. w. 5. zamiast 1739 czyt. 1839.
str. 43. kol. 1. w. 28. zamiast kraje czyt. kryje.
str. 43. kol. 2. w. 9. zamiast lisa czyt. lica.
str. 45. kol. 1. w. 32. zamiast wyjątek drugi czyt. wyjątek pierwszy.

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca 2 Talary półrocznie przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*